ROZMAITOŚCI.

Dnia 29 listopada, N^ter. 48. roku 1845.

Opustoszały park.

(Dokończenie.)

W dzień zagajenia sądu przysięgłych było całe miasto Lancaster w poruszeniu. Trybuny sądowéj sali uginały się od natłoku widzów wszelkiego stanu i wieku. Nawet z najodleglejszych okolic Anglii zjechało się wiele ciekawych osób, zwabionych osobliwością procesu.

Naraz zwróciły się wszystkich oczy ku drzwiom — wprowadzono Williama. Wyglądał on blado i posępnie, lecz odpowiedzi jego były spokojne, a zapytany, czy się winnym lub niewinnym uznaje? zawołał mocnym głosem: „Niewinnym!"

Z długiego i szczegółowego aktu oskarzenia, który na wstępie odczytano, okazywało się, iż oskarzyciel publiczny bynajmniéj o winie Williama nie powątpiewał. Chodziło tylko o udowodnienie przytoczonych przezeń okoliczności, jakoto: iż William oddawna z zabitym żył w niezgodzie, iż tegoż samego dnia miał z nim sprzeczkę, że się przeciw niemu odgrażał, a co najwięcéj, iż należący do Williama nóż, przy trupie znaleziono, a rany zabitego zupełnie szerokości noża odpowiadały. Przywołano więc świadków. Naprzód wystąpili dwaj robotnicy, którzy wraz z Williamem naprawą owego budynku w źwierzyńcu się zajmowali. Na zapytanie sędziów, opowiedzieli całą sprzeczkę, jaka tam między Williamem a Burnesem z powodu uszczypliwych przycinków tegoż ostatniego się wszczęła.

»Obżałowany miał przy téj sposobności miotać pogróżki przeciw zamordowanemu?" zapytał piérwszy sędzia. »Przypominacież sobie, jakich wyrazów używał?"

»Ach, przypominam sobie, mój miły panie, przypominam sobie wszystko jak dzisiaj;" — odrzekł jeden ze świadków, okazujący wielką chętkę do gadania — „pan William nazwał pana Burnesa gburem; no, jużci nie należy się mówić źle o umarłych, ale wszystkim wiadomo, że pan William nie skłamał. Potém powiedział pan William, że nieboszczyk sobie masztalerza żałuje, i sam jeden konno jeździ, żeby nie dziw było, gdyby mu się kiedy jaki przypadek zdarzył, gdyż „jest wiele ludzi, którzy go nienawidzą, i chętnieby mu guza dali."

»A mówiłże wyraźnie, że on sam go nienawidzi? Przypomnijcie sobie dobrze Jakóbie Ford, czy to wyraźnie powiedział;" rzekł prezydent.

„Mówił to wyraźnie, mój miły panie!" odpowiedział robotnik stanowczym głosem. »I dodał jeszcze, iżby mu radził, aby się z nim nie zarywał, gdyż mógłby tego pożałować."

„Pożyczyliście wtedy nóż od obżałowanego?" zapytał dalej sędzia. „Jestżeto ten sam nóż?"

„Niezawodnie, mój miły panie;" odrzekł świadek przypatrując się podanemu sobie przez woźnego nożowi z ozdobnym zielonym trzonkiem.

„A wyż, sir," — zapytał prezes, zwrócony do Williama — „czy się przyznajecie do tego noża?"

„Jestło rzeczywiście mój nóż;" — ozwał się młodzian — »zapewne'm go przypadkiem zgubił."

»Jakóbie Ford," — rzekł sędzia dalej — »widzieliżeście późniéj ten nóż u obżałowanego?"

»Nie, miły panie. Gdy nazajutrz rano pana Williama o pożyczenie tego noża do obcinania szczepów prosiłem, odpowiedział mi, iż go zgubił, a potém pobiegł czémprędzéj w tamtę stronę parku, gdzie mord spełniono."

»I nie postrzegłżeś pan wprzód téj zguby?" spytał prezes obżałowanego.

„Tak jest, postrzegłem, lecz wcale czém innném głowę zajętą miałem;" odpowiedział William z boleścią.

„A przecież pobiegłeś pan go szukać;" zarzucił sędzia.

„Przypomniałem sobie w istocie, iż gdyby tam mój nóż znaleziono, mogłoby to podejrzenie na mnie sprowadzić, i przerażony tą myslą, pośpieszyłem odszukać go."

„Jeszcze tego samego wieczora miałeś pan drugą sprzeczkę z Tomaszem Burnes?" zapytał prezes dalej.

„Tak jest," — odrzekł młodzieniec — „Burnes kazał mi sobie konia ze stajni wyprowadzić, a gdym tego uczynić nie chciał, zagroził mi szpicrutem."

„Patrik o'Neil," — ozwał się sędzia do innego

świadka. „Słyszeliście tę sprzeczkę; powiedźcie jak to było.”

„Z przeproszeniem jegomości,” — odpowiedział zapytany Irlandczyk — „przyszedłem już pod koniec, i nie wiem co się z początku działo. Siedzieliśmy właśnie z moim krajanem, Fergusem Fitzpatrik z Drogheda, przy śklaneczce. Gdyśmy się tak zagadali, usłyszałem nagle głos pana Burnes. Tu dopiero przypomniałem sobie, że trzeba było konia mu wyprowadzić, i pobiegłem coprędzéj do stajni. A gdy mu konia wyprowadziłem, widziałem pana Williama, jak groźnie nóż z-za pasa uchwycił i w gniewie na nieboszczyka zawołał: „Tylko mnie się dotknij, a zginąłeś!”

»A do was nicże obżałowany późniéj o téj sprzeczce nie mówił?” zapytał sędzia.

„Nic,” — odrzekł Irlandczyk obojętnie — „chyba tylko to, iż wspomniał, jak bardzo żałuje, że panu Burnesowi szpicrutu z rąk nie wyrwał i jego samego dobrze nim nie wytrzepał, i że jeszcze przyjdzie kiedyś godzina, w któréj się z nim policzy.”

„Okazuje się,” — rzekł prezes do Williama — »iż po kilkokrotnie zamiar pomszczenia się na Tomaszu Burnes wynurzyłeś.”

Tak jest, sir;” — odpowiedział William spokojnie — „temu nie przeczę, iż gdyby Tomasz Burnes był mię kiedy pokrzywdził, mógłem się był porwać do niego — lecz zamordować go! — niech mi tak Bóg dopomoże! — nigdy, w najgwałtowniejszym gniewie, na myśl mi to nie przyszło.”

Te ostatnie słowa wymówił William z widocznem wzrnszeniem. Piękne jego młodzieńcze lice spłonęło ogniem uczucia. Cała publiczność zdawała się podzielać jego wzruszenie.

»Lord T.” — ozwał się sędzia daléj — »oddalił pana ze służby z powodu ubliżającego obejścia się jego z zabitym Tomaszem Burnes?”

»Tak jest, sir; odrzekł William.

„Miałeś oddawać inwentarz nieboszczykowi, który sam o tém cię uwiadomił?”

„I to prawda;” odpowiedział obżałowany.

»Gdy Burnes o tém z panem rozmawiał, było kilka osób przy tém obecnych; między niemi znajdował się także pomocnik ogrodniczy Szczepan Tyler. Wystąpcież więc Szczepanie Tyler, i wyznajcie na sumienie, co obżałowany powiedział, skoro się Bnrnes oddalił.”

„Sir,” — rzekł wezwany świadek, podeszłego wieku o siwych włosach — „jestem starym człowiekiem, wkrótce przed sądem Boga stanę, a zatém kłamać nie będę. Pan William był zawsze dla mnie łaskawym i dobrym przełożonym, i żalby mi szczérze było, gdyby moje zeznanie zaszkodzić mu w czém miało — ale przysiągłem i muszę prawdę powiedzieć. Gdy pan Burnes się oddalił, rzekł pan William o nim, że „podjął się obowiązku, który, Bóg wié, czy mu na dobre wyjdzie.” A gdy go ostrzegałem, aby zawziętością unieść się nie dał, odpowiedział, że pan Burnes »pewnie po raz drugi takiego zlecenia się nie podejmie.” Co zaś pan William przez to rozumiał, tego nie mówił.”

»Rozumiałem przez to,” — ozwał się William — »że gdyby Tomasz Burnes niesłusznie mię chciał obrażać, tedy byłbym się ujął za sobą, i byłbym mu równą miarką odmierzył.”

»Widzicie więc, sir,” — rzekł prezes do Williama — »że wszystkie zeznania przeciw wam świadczą. Sam nie wypierasz się słów, któreś wyrzekł, tylko inne nadajesz im znaczenie. Również i znaleziony przy trupie, a krwią zbroczony nóż, za swój własny uznajesz. Wszakże są oprócz tego inne ważne okoliczności, które jeszcze bardziéj winę stwierdzają. Przypomnij sobie sir dokładnie każdy szczegół. Pytam się ciebie: Jaką suknią miałeś na sobie w dzień przed zabójstwem, i w dzień po tém zdarzeniu?”

„Miałem na sobie tę samę zieloną suknią, która tam na stole jest złożona;” odpowiedział obżałowany.

»Jak widzisz, są tam plamy ze krwi? Zkądże się one tam wzięły?”

„Szła mi krew z nosa, w nocy przed zdarzoném zabójstwem;” odrzekł William.

„Nie zdejmowałeś więc téj sukni przez noc, i dla czego to uczyniłeś?”

»Miałem zatrudnienie;” — odpowiedział William nieco zmieszany — »zwykle przechodziłem się co nocy po parku, aby się przekonać, czy jaki złodziéj do źwierzyny się nie zakrada; jednakże téj nocy nie byłem w téj stronie, gdzie zabójstwo popełnione zostało, lecz wcale w innéj.”

»Jeźli tak,” — ozwał się prezes, mierząc bystrym wzrokiem Williama — »tedy powiedz pan, w któréjto byłeś stronie, i coś tam miał do czynienia?”

„Tego powiedzieć nie mogę;” odrzekł William nieśmiało.

Na te słowa rozległ się szmer po sali. Ta odpowiedź zdała się być jawnem przyznaniem się do winy. Przysięgli zaczęli szeptać między sobą. Wkońcu ozwał się jeden z nich do prezesa, prosząc aby obżałowanemu przypomniano, iż od tego pytania los całéj sprawy, a może jego życie zależy.

Prezes napominał młodzieńca do zeznania bezwzględnéj prawdy. »Dotąd były wszystkie świadectwa przeciw panu; wzbronienie odpowiedzi na to pytanie dopełni miary dowodów, gdy przeciwnie, wykazanie bytności w innéj części parku, zwłaszcza jeźliby ono wiarogodném świadectwem zatwierdzone być mogło, nieochybnie pana od wszelkiego podejrzenia ocali i wolność mu przywróci.”

William wysłuchał mowy prezesa z wielką uwagą i spokojnością, a potém rzekł:

„Dziękuję panom za ludzkość, z jaką mię do udowodnienia *alibi* nakłaniacie. Byłbym ja istotnie w stanie udowodnić tę okoliczność. Gdyż żyje dotąd osoba, któraby mogła poświadczyć, w której stronie parku ja ową noc spędziłem. Wszakże niepodobna mi jest, wymieniać tego świadka, lub też do świadectwa go powoływać. Gdybym to uczynił, musiałbym przez całe życie sobą pogardzać, a tak wolę, chociaż niewinnie, oddać głowę katowi.”

Na znacznéj części zgromadzenia i sprzysięgłych sprawiły te słowa młodzieńca dość pomyślne wrażenie, większa część jednak okazywała swoim zimnym uśmiechem, iż one tylko próżnym zdają się być wybiegiem.

Zeznania świadków uniewinniających — pomiędzy tymi głównie byłego majstra Williama — dotykały tylko w ogólności jego poprzedniego sprawowania się i charakteru, nie zmieniając przeto w niczém stanu procesu. Również miała się rzecz z obroną Williamowego adwokata. Wyczerpawszy wszelkie dowody z wewnętrznego usposobienia młodzieńca, musiał on wreszcie wyznać, że co do jego niebytności na miejscu popełnionéj zbrodni, żadnego od Williama nie mógł otrzymać wyjaśnienia.

Teraz nastąpiła mowa publicznego rzecznika, zawierająca stwierdzenie najważniejszych szczegółów oskarzenia. »Jeżliby, co niechaj Bóg zabrania!” — dodał on w końcu — „niesłuszny ze strony przysięgłych wyrok miał zapaść, tedy winien to będzie William jedynie uporczywości, z jaką swego mniemanego *alibi* dowieść się wzbrania.»

Po obszérnéj mowie prezesa, która jeszcze raz wszystkie okoliczności całéj sprawy gruntownie, lecz niestety nie na korzyść Williama roztrząsnęła, a po któréj żadnego już prawie w publiczności powątpiewania o winie obżałowanego nie pozostało, nadeszła wreszcie chwila, gdzie przysięgli na ustęp odejść mieli, aby się nad wyrokiem naradzić. Nie trudno było odgadnąć, jak ten wyrok podług wszelkich okoliczności mógł wypaść. William zdał się być głęboko wzruszonym.

„Panowie!” zawołał on pewnym, donośnym głosem. »Poświadczam jeszcze raz przed całą Angliją, iż jestem niewinny! Ale jakikolwiek wyrok wydacie, niechaj nigdy krew moja na wasze głowy nie spada. Mógłbym dowieść mojéj niewinności, wszakże dobrowolnie tego uczynić nie chcę.”

Tu powstało głośne poruszenie w całéj sali. Jednych ujął szczéry głos prawdy, przemawiający w słowach obżałowanego, drudzy postrzegli iż jakiś sługa sądowy śpiesznie do sali wstąpił i coś zcicha do prezesa przemówił.

„Panowie,” — ozwał się prezes głośno — „zaszła okoliczność, która nakazuje przerwania narady przysięgłych. Przybył nowy świadek, który chce stanąć w obronie obżałowanego, i dowieść jego gdzie-indzie-bytność w czasie mordu.”

Wszystkich oczy zwróciły się ku drzwiom, z których jakaś czarno ubrana, z twarzą zasłoniętą dama w towarzystwie mężczyzny weszła.

„Moi panowie,” — rzekł do sędziów towarzysz nieznajoméj damy. „Jestem adwokat Etienne Dumont z Paryża, i przybywam jako pełnomocnik obecnéj tu *miss* Klotyldy T., córki zmarłego lorda T. z N., która zamierza złożyć świadectwo w sprawie Williama Todd.”

Podczas gdy rzecznik to mówił, uchyliła Klotylda zasłony, a piękne jéj lica, zalały się płomiennym szkarłatem.

Ujrzawszy dziewicę, podniósł zdziwiony William uroczyście drżące ręce ku niebu, a potém zasłonił sobie oczy łzami zalane.

„Panowie,” — ozwała się wreszcie Klotylda, po złożeniu zwykłéj przysięgi świadków — »żyłam w Paryżu, w domu przyjaznéj mi rodziny, gdy przypadkiem postrzegłam dziennik, w którym była mowa o procesie Williama Todd, oskarzonego o zabójstwo Tomasza Burnes. Przerażenie moje nie znało granic, gdyż nikt lepiéj odemnie nie wiedział, że on tego zabójstwa w czasie, w którym się wydarzyło, popełnić nie mógł. Gdyby mój ojciec żył jeszcze, byłabym wszystko mu wyznała, a on byłby tutaj przyśpieszył i ocalił życie niewinnemu; lecz niestety, on już nie żyje, a równie też nie żyje i druga osoba, klucznica mojego ojca, którąby mogła była świadectwo złożyć. Nie pozostało mi więc nic innego, jak wyznać wszystko mojemu obecnemu tu towarzyszowi, i z nim na miejsce sądu pośpieszyć.”

„Panowie!” rzekła Klotylda po chwili odetchnięcia, stanowczym lecz drżącym głosem. „Wiém ja o tem, że wyznaniem mojém zniszczę sławę i całą przyszłość moję, która na niéj polega; lecz tu idzie o życie człowieka, a przeto muszę wszystko, muszę zupełną prawdę wyznać. — Żyłam w największém odosobnieniu; wychowanie moje było zewszystkiém zaniedbane; nie miałam żadnego wyobrażenia o towarzyskich stosunkach. W domu mojego ojca nie bywał nikt inny oprócz Tomasza Burnes. Wtém został William Todd na ogrodnika wezwany. Dla mego zamiłowania w kwiatach pozwolił mi ojciec wychodzić każdéj chwili do ogrodu. Tam widywałam codziennie Williama. Był on zawsze grzecznym, skromnym, i zdawał się żyć cały w swojéj sztuce. Nie znawszy dotąd żadnego młodego człowieka, powzięłam przywiązanie do pana Williama, chociaż sobie jeszcze z uczucia mego żadnéj sprawy zdać nie umiałam. Dopiéro gdy mi ojciec oznajmił, iż mam iść za Tomasza Burnes, uczułam rzeczywisty stan mego serca, i oświadczyłam ojcu wyraźnie, iż nigdy żoną jego przyjaciela

nie będę. To skłoniło mego ojca do wysłania mię natychmiast do Paryża. Miałam nazajutrz o świcie odjechać, lecz zdało mi się, iż tego uczynić nie mogłam, nie widziawszy wprzód Williama. W stanie zbliżającym się do obłąkania, napisałam do niego kartkę, prosząc o widzenie się ze mną wieczorem w ogrodzie, w téj części parku, gdzie była oranżeryja. Stara nasza klucznica, Elżbiéta Fooler, wiedziała o moim zamiarze, i była obecną przez cały czas téj schadzki.

»Jakiekolwiek światło to na mnie rzuci, muszę wyznać, iż William był rozsądniejszym odemnie. Wyliczał on mi wszelkie skutki kroku, którego się dopuściłam, wyjaśnił mi niepodobieństwo związku między nami. Byliśmy razem aż do północy od téj chwili, w któréj Tomasz Burnes rozgniewany do domu odjechał. W tymto czasie zapewne zabójstwo popełnioném zostało, gdyż, jak czytałam, wrócił koń zabitego jeszcze przed dwunastą godziną do domu. Przy pożegnaniu był William tak bardzo wzruszonym, że gdy się dla ucałowania mi ręki schylił, krew mu z nosa trysnęła i suknią mi opryskała, com dopiéro przyszedłszy do domu spostrzegła.»

W ciągu tego wyznania płoniła się wciąż Klotylda, a skończywszy je, pobladła.

„Panowie!» ozwała się wreszcie po raz ostatni. „Surowi ludzie potępią mój postępek, jakoż najsurowszą przyganę w mojéj własnéj piersi znajduję. Lecz czuję," — dodała silniéjszym głosem — »żem nie mogła inaczéj postąpić. Byłam słabą, lecz sumienie moje i honor mój, zostały nienaruszone, a żem ich nie straciła, winnam to jedynie uczciwości i honorowi tego zacnego młodego człowieka.»

Tu znużona Klotylda spoczęła na krześle i zapuściła zasłonę.

Szlachetna mowa dziewicy sprawiła głębokie wrażenie. Publiczny oskarzyciel oświadczył wprawdzie, iż obstaje przy oskarzeniu, nie wątpiąc wszakże w złożone tu świadectwa. Obrońca Williama odpowiedział, iż to świadectwo niezbicie za obżałowanym mówi, przeco on nawet w dalszy wywód wdawać się nie myśli. Wkońcu wezwał prezes przysięgłych, aby do sali obrad przeszli i tam pytanie winy lub niewiny Williama rozstrzygnęli.

Po półgodzinnéj przerwie powrócili do sali, gdzie natężone ciekawością panowało milczenie. Wreszcie wystąpił jeden z przysięgłych przed krzesło prezesa, i złożywszy rękę na piersi rzekł: „Zapewniam na honor! Obżałowany nie jest winny."

Głośny okrzyk radości powitał słowa wyroku. Oswobodzony William został w tryumfie do domu odprowadzonym. Również i na cześć Klotyldy ozwały się głośne okrzyki, gdy salę opuszczała.

Pierwszym krokiem Williama po uwolnieniu było udać się do Klotyldy. Rzucił się jéj do nóg, i przyciskał po tysiąc razy rękę jéj do ust.

„W obec tysiąca nieznanych ludzi," — rzekła wzruszona Klotylda do niego — „wyznałam, drogi przyjacielu, uczucia mego serca dla ciebie; mamże je teraz zamilczéć! Nie uczynię tego — i owszem wyznaję, kocham cię Williamie, i będę zawsze kochała! Nic mię już teraz od oddania ci ręki nie wstrzymuje, przecież, nie mogę tego uczynić, a gdybym nawet i chciała i mogła, twój własny honor nie dozwoliłby spełnienia mojéj chęci. Mogliby się znaleźć tak nikczemni ludzie, którzyby w tém wszystkiém chytrą zmowę upatrywali. Cóżbyśmy odpowiedzieć mogli, gdyby nam do poznania dawano, żeś ty przecie Tomasza Burnes zamordował, a jam o tém wiedziała, lub co większa, żem dla ubezpieczenia się od wstrętnego mi małżeństwa, do téj zbrodni cię namówiła!»

„Obawa twoja, droga przyjaciółko, nie tylko że jest słuszna, ale i niezawodna;» — odrzekł William po niejakim namyśle — „nie — nie możemy nigdy być połączeni!»

„Nigdy? Nigdy?» zapytała Klotylda zarumieniona. »Wyszłoż to słowo z serca twego Williamie?»

»O Boże!» zawołał William wzruszony. „Czyż odgadłem myśl twoję! Bóg sprawiedliwy ulituje się nad nami — a jeżli istotny zabójca odkrytym zostanie — wtedy?»

„Wtedy zostanę twoją;» — zakończyła dziewica — »tylko wtedy; inaczéj, nigdy za mąż nie pójdę. Byłeś i jesteś jedynym mężczyzną, którego bliżéj poznałam, i którego kochać mogę.» —

*

Trzy lata upłynęły od procesu Williama. W tym czasie wydoskonalił on się znacznie w botanice i ogrodnictwie. Najmilszą jednak zabawą była mu korespondencyja z Klotyldą. Listy ich tchnęły najgorętszą miłością. Lecz jakby wskutek wzajemnego porozumienia, nie było w nich ani wzmianki o przyszłym związku. Jednego razu usłyszał William iż ogród królewski w Kew nowym zbiorem nadzwyczaj rzadkich roślin zbogaconym został. Chociaż właśnie natenczas był w Edymburgu, nie wstrzymało go to od wybrania się w podróż do Kew. O kilka mil od tego miasta, zaskoczyła go pod wieczór gwałtowna burza, dla któréj do piérwszéj lepszéj karczmy na nocleg zajechać musiał. Dano mu tam lichy gościnny pokoik, przedzielony tylko deskami od sąsiedniéj komórki, gdzie, jak mu gospodarz opowiadał, także jakiś burzą zagnany podróżny stanął noclegiem.

Unużony całodzienną jazdą, położył się William niebawem na spoczynek, i miał już zasnąć, gdy wtém jakieś dziwne, z sąsiedniéj komórki pochodzące głosy go doleciały. Przysunął się więc

do ściany, pod którą właśnie spoczywał, a która oba pokoje przedzielała, i zaczął pilniéj słuchać. Jego sąsiad gadał głośno przez sen. Długo nie mógł go William rozumiéć, lecz czém daléj, tém głośniejsze i wyraźniejsze stawały się słowa śpiącego, aż w końcu jął przeraźliwie krzyczéć: „Ha, otóż park! A tam Tomasz Burnes! Tomasz Burnes zamordowany! Precz, precz odemnie trupie! Zasłużyłeś sobie tę karę...”

Tu zamilkł nagle, a po chwili, zapewne przebudzony, ozwał się słabym, boleśnym głosem: »Że mi też ten przeklęty widok ani w dzień ani w nocy spokoju nie da! Och, wolałbym już raz na rusztowaniu zginąć...”

William się zdumiał. Przytulił ucho do ściany i słuchał, lecz już wszystko ucichło. Miałżeby ten nieznajomy wiedzieć coś o zabójstwie Burnesa, lub téż sam być jego zabójcą...”

Nim się jeszcze rozwidniło, wstał cicho z łóżka i przekonawszy się, iż jego sąsiad nie zaraz jeszcze odjedzie, siadł na koń i pognał żywym pędem. O kilkaset kroków od karczmy leżało miasteczko, gdzie adwokat Nicholas Reid mieszkał. Do niego więc udał się spiesznie William i opowiedział mu całe zdarzenie. Sir Reid był dość przyjaźnie dla Williama usposobionym, a przeto odpowiedział mu z gotowością, iż sam natychmiast pojedzie do owéj karczmy, i jako sędzia pokoju będzie badać nieznajomego. Przybywszy na miejsce zastali go już na wyjezdném Wszakże ledwie Reid go obaczył, wydali obaj krzyk zdziwienia.

»Toż wy, Jean Texier!” zawołał adwokat. „Wy, zwodziciel lady T., i domniemany morderca Tomasza Burnes?” — W imieniu króla i ustaw, jesteście przyaresztowanym.”

„O mój Boże!” jęknął obcy, drząc cały z trwogi. „Już po mnié! Już się wszystko skończyło!”

I bez najmniejszego odporu udał się z adwokatem do miasteczka, gdzie go natychmiast w więzieniu osadzono. Nim jeszcze godzina upłynęła, zażądał sam posłuchania, mając, jak mówił, ważne uczynić wyznanie. Przyprowadzony przed sędzię, rzekł:

„Byłem kamerdynerem lorda T., pana dziwnego i ponurego charakteru, który w Paryżu z ubogą dziewczyną się ożenił. Znałem tę dziewczynę oddawna, i zostawszy na jéj polecenie w służbę przyjętym, wszedłem z nią w tajne porozumienie. Mając się za odkrytych, uciekliśmy do Francyi, gdzieśmy się w końcu pobrali. Za wywiezione z Anglii pieniądze, założyliśmy małą kawiarnię w ustronném miasteczku w Pyrynejach. Lecz małżeństwo nasze nie było wcale szczęśliwe. Żona moja umarła w przeciągu roku, zostawiwszy mi córeczkę. Wychowałem to dziécię jak tylko mogłem najlepiéj, i doczekałem się wreszcie słusznéj, ładnéj, szesnastoletniéj dziewczyny. W okolicy uchodziłem za poczciwego człowieka, i było téż rzeczywiście mojém staraniem prowadzić odtąd uczciwe, przykładne życie. Wtém zjawia się u nas jakiś obcy, w dojrzałym wieku człowiek, mieniący się być Anglikiem, imieniem Brown, który częścią dla rozrywki, częścią dla zdrowia, kilka miesięcy w naszych stronach zabawić pragnął. Najął sobie u mnie stół i mieszkanie, a moja córka usługiwała mu. Któżby był pomyślił, że ten podeszły, poważny człowiek, zechce z téj sposobności korzystać, i uwiedzie młodą, niedoświadczoną dziewczynę? — Nieszczęśliwa, przepłaciła życiem swój błąd. Brown odjechał skrycie jeszcze przed jéj połogiem, który ją do grobu wtrącił. Ja, dręczony wyrzutami sumienia, prześladowany nieszczęściem, sprzedałem moję majętność, opuściłem Francyję, i udawszy się do Londynu, wziąłem tam gospodę w dzierzawę. Jednego dnia postrzegam jakiegoś przechodnia, mającego wielkie podobieństwo do pana Brown. Na zapytanie ludzi, z którymi on rozmawiał, dowiaduję się, iż to jest właściciel ziemski z Lancastershire, nazywający się Tomasz Burnes. Nagle przebudziła się cała moja nienawiść przeciw niemu. Zapragnąłem zemsty — okropnéj zemsty! Jakby jéj dopiąć — miała pierwsza lepsza sposobność rozstrzygnąć. Pośpieszyłem więc pod przybraném nazwiskiem — gdyż lord T. żył jeszcze, i mógł mię poznać — na miejsce pobytu Burnesa, i usłyszałem tam, że on wkrótce z córką lorda T. ma się żenić. Jakto! — rzekłem w oburzeniu do siebie — jednę córkę téj saméj matki zabił, a teraz miałby drugą poślubić! Nie — przenigdy! — Gdym w tych czarnych myślach samotnie po lesie się przechadzał, ujrzałem Tomasza Burnes zwolna ku parku lorda nadjeżdżającego. Niewiedząc prawie co uczynię, pobiegłem naprzód, aby mu w jakiém ciasném miejscu drogę zastąpić. Bogiem się świadczę, iż nie miałem jeszcze żadnego pewnego zamiaru zemsty! Nie miałem nawet broni przy sobie, i dopiéro po drodze oglądałem się za jakim kijem lub kamieniem. Wtém postrzegłem niedaleko, pograniczny płot parku, i coraz większą wściekłością przeciw Burnesowi się zapalając, poskoczyłem w to miejsce, aby kół wyłamać. Ledwie że tam stanąłem, spostrzegłem wraz po tamtéj stronie w parku, pod płotem, duży myśliwski nóż z zieloną rękojeścią. Ten przypadek rozstrzygnął los Burnesa. miałem go za wyrok nieba, które widocznie broń do ukarania występcy mi podawało. Na domiar nieszczęścia, musiał Burnes u płotu zsiąść z konia i wrota sobie otworzyć. Ja wtedy przelazłszy spieszno przez otwór w nadpsutym płocie i pochwyciwszy nóż, stanąłem na sam czas u boku mego nieprzyjaciela, właśnie gdy on konia przez wrota przeprowadzał. Rzuciłem się tak nagle i niespodzianie na niego, że mi żadnego prawie oporu nie mógł stawić. Po kilku chwilach, już Burnes leżał martwy na ziemi,

koń jego wrócił się pędem ku domowi, a ja, porzuciwszy skrwawiony nóż obok trupa, zacząłem uciekać ku miastu. Jeszcze tego samego poranku, nie ściągnąwszy żadnego podejrzenia na siebie, odjechałem wozem pocztowym do Londynu. Mijały dnie, tygodnie, a ja bezpiecznie w Londynie, w mojéj gospodzie żyłem. Lecz, im coraz mniéj powodu do obawy wykrycia się zbrodni miałem, tém głośniéj zaczęło we mnie przemawiać sumienie. Każdy dzień podwajał moje katusze! W końcu doszły one do tego stopnia, że gdy się proces Williama zaczął, a on niewinnie miał być skazanym, powziąłem mocne postanowienie przyznania się do winy. Wystąpienie *miss* Klotyldy ocaliło Williama, i mnie też na inne myśli przywiodło. Łudząc sam siebie zwyczajem wszystkich skrytych zbrodniarzy, mniemałem w tym ostatnim wypadku widzieć nowe skinienie losu, który mi żyć rozkazywał. Wszakże to nie ochroniło mię od coraz srószéj męczarni sumienia. W każdéj chwili, na każdém miejscu, stał krwawy trup zabitego przede mną, i dręczył mię wszelkiémi mękami piekła! Dla ulżenia tego okropnego stanu wybrałem się w podróże, i błąkałem się jak potępieniec z miejsca na miejsce. Lecz jeźli nawet we dnie oczy nowémi wciąż widokami rozerwałem, okropne sny prześladowały mię w nocy. Też sny wydały mię teraz na karę. Jestem gotów ją ponieść, gdyż chociażby największą była, srószą ona od mego udręczonego życia nie będzie.” —

Nie trudno pojąć jak powszechne wrażenie to odkrycie utajonego zbrodniarza, w całéj Anglii sprawiło. Sąd sprzysięgłych skazał Jana Texier na szubienicę, lecz król, zważywszy pobudki do téj zbrodni, zamienił karę śmierci w deportacyję do Botany-bay. Tam sprawował się Texier tak przykładnie, że sobie szczére zaufanie przełożonych pozyskał, a wreszcie nawet posadę podrzędnego dozorcy otrzymał; po czém w niedługim czasie umarł.

Wkrótce po tém zdarzeniu miał William także w inne przenieść się strony. Wykształciwszy się gruntownie w naukach przyrodzonych, został na profesora botaniki do Kanady wezwany. Przed wyjazdem chciał się pożegnać z Klotyldą. Mimo jawnego wykrycia się jego niewinności, nie śmiał on z prośbą o jéj rękę wystąpić. Wszakże nowe obaczenie się kochanków dopełniło wzajemnego porozumienia się. Klotylda została narzeczoną Williama. Sir Nicholas Reid dopomógł jéj do sprzedaży ojczystego majątku, a po kilku miesięcach William i Klotylda, jako nowopobrani małżonkowie, wysiedli szczęśliwie na ląd w Kwebeku.

O zmyśle muzykalnym pająka.

Życzyćby należało, aby każdy miłownik muzyki szczérze z pająkami się zaprzyjaźnił, gdyż ze wszystkich zwierząt okazują te owady najwięcéj zamiłowania w muzyce, i poniekąd objawiają cudowną jéj istotę. Przedewszystkiém zamiłowane są pająki w łagodnych, tkliwych akkordach, a najbardziéj w grze na skrzypcach, na arfie, lub na fagocie. Ztąd nierzadko się zdarza, iż w salach koncertowych spuszczają się z sufitu po swoich nitkach i przysłuchując się pilnie płynącym tonom, zawisają nad brzmiącym instrumentem. Zastanówmyż się nad przyczyną tego zjawiska. — Jestto niezawodną prawdą, iż słyszenie, niczém inném nie jest jak tylko wtórzeniem się magnetycznéj czynności systemu nerwowego. Gdyż to, co w nasze ucho wnika, nie jestto same tylko nieoznaczone drżenie powietrza, lecz są to już ukształcone, niewidzialne figury, owe ulotne powietrzne kryształy, przez które,* jakto Chladny okazał, każde brzmiące ciało, najwnętrzniejszą treść swoję, niejako duszę swoję nam objawia. Podobnie jak zmysł dotykania zewnętrzną formę pobiera, i rozpoznaniu ducha oddaje, tak też przez dotykanie powietrza pobiéra ucho, jako najdelikatniejsze narzędzie czucia, wewnętrzny związek i następną zawisłość ciał. Ręka, uczuwa tylko w miejscu już skrystalizowany kształt zewnętrzny, ucho zaś pobiéra nieustannie kolejno tworzącą się i zmiennie niknącą, żywą, wewnętrzną istotę ciała, to jest, uczuwa jego kształtującą się, w objawę idącą duszę. S ł y s z e ć jestto dotknąć się czuciem, s ł u c h a ć jestto czynić związek duchowo, a przeto, jestto czynność niejako magnetyczna, gdyż magnetyzm tycze się zarówno stosunków mechanicznych, jakoteż ruchów przez się w przestrzeni wszczynających się, i odpowiada zarówno zmysłowi dotykania się, jak i zmysłowi słuchu. — Lecz skutek brzmienia, dźwięku i tonów polega także na wpływach elektrycznych. Powietrze, podając dalej dźwięki, rozpręża się i wprawia się przez ruch, w stan elektryczny. Ta okoliczność polarnego działania, zdaje się dotąd zbyt mało być uwzględnioną, chociaż ona do pojęcia zmysłu słyszenia, zwłaszcza co do rozmaitéj skuteczności różnych tonów, niezbędnie jest potrzebną.— Jeźli więc istota muzyki na elektro-magnetyzmie się zasadza, tedy nie ma się czemu dziwić, iż tony muzyczne tak wielki wpływ na pająka wywiérają, który samże jest elektro-magnetycznéj natury. Jest on rzeczywiście biernie elektrycznym i dlatego ucieka od potartéj laski laku. Kruszce wpływają nieprzyjaźnie na jego tkankę. Dwa zbliżone do siebie pająki, odtrącają się wzajemnie. i ztądto ich pajęcza nienawiść. Wreszcie i to, iż pająki zmiany powietrza wróżą, polega jedynie na tém, że z elektrycznością powietrzni w polarném wzajemném oddziaływaniu zostają. A przeto i skutek tonów na ucho pająka, nie tylko jest czysto mechaniczny, lecz owszem elektro-magnetyczny, i dlategoto objawia on się w tak nadzwycyajnie uderzający sposób. —

Pająki okazują prócz tego w tkaniu swojéj siatki pewien zmysł geometryczny. To wiąże się ściśle z ich zmysłem muzykalnym, gdyż i słuch jest także zmysłem geometrycznym; on nie pobiéra ciał, lecz tylko ich formy, o ile my tym słuchem, owe poruszalne, powietrzem opisywane kształty ciał brzmiących, jak je Chladny nazywa, pobiérając uczuwamy, to jest, o ile my geometryję żyjąco-działającą, płynną w czasie, pojmujemy. — Również zdaje się i tkań pajęcza stanowczy wpływ na muzykalne czucie tych osobliwych stworzeń wywiérać; jest ona może instrumentem muzycznym o milijonowych strónach, które poruszane powietrzem, brzmią nieustannie w serce, w duszę pająka, w niedosłyszalnych dla nas akordach gitarowych; owe zaś w jesieni ponad polami ulatujące, i wysoko w niebo płynące mdłe nitki pajęcze, są to może eolowe arfy niebieskie, których tajemnicze brzmienie i mybyśmy może usłyszéć mogli, gdybyśmy tak leciuchno tkliwe pajęcze ucho mieli.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 47my i zawiéra: 1) O podniesieniu gospodarstwa wiejskiego przez nauczycieli wiejskich. 2) Prezerwatywa przeciw zapaleniu śledziony u bydła. 3) O wystawie płodów przemysłowości w Wiedniu; przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 4) Kompost z łodyg tytuniowych. 5) O konsumcyi mięsa w Paryżu w miesiącu październiku r. b. 6) Przestroga względem koni zarażonych nosaciżną i tylczakiem. 7) Wiadomości handlowe.

Akademija damska w Paryżu. W jednym z najpiękniejszych hotelów przedmieścia St. Germain pracują obecnie liczni robotnicy nad przyozdobieniem wielkiéj sali, mającéj służyć za miejsce zgromadzania się nowego uczonego towarzystwa damskiego, które dawniéj już zawiązane, lecz wkrótce potém zaniechane, teraz do nowego życia zmartwychwstaje. Najgorliwszą protektorką tego planu jest pewna dostojna dama, która nawet znaczną część swego wielkiego majątku nowemu zapisać chce zakładowi. Wszystkie panie należące do akademii mają pobiérać pensyje, i będą się przedewszystkiém zajmować ułożeniem słownika francuzkiego, który, jak słychać, ma być tak obfitym skarbcem mowy francuzkiéj, jakiego dotąd jeszcze w żadnym przez mężczyzn wypracowanym dykcyjonarzu nie znajdziesz. Dziesięć piszących dam otrzymało już nominacyje; te obiorą resztę swych koleżanek, aż póki liczba 40 się nie dopełni. Otworzenie akademii nastąpi jeszcze w ciągu bieżącego miesiąca.

Sztuka naśladowania wszelkich pisem. »Gazeta magdeburska« donosi z Berlina pod d. 9go listopada: »Temi dniami przedłożono królowi nowy wynalazek, który na jego król. mości, jakoteż na wszystkich wyższych urzędnikach nadzwyczajne sprawił wrażenie. Jestto niebezpieczny wynalazek, który dla nieobliczonych skutków, jakieby ztąd we wszystkich zawodach publicznego i prywatnego życia wyniknąć mogły, przestrachem prawie zdejmuje. Jeden z tutejszych światłych ludzi wynalazł sztukę (jeźli to sztuką nazwać się godzi), za pomocą któréj wszystkie dokumenta, stare pisma, wszelkie rodzaje banknotów i t. p., w tak mamiący sposób naśladować się dają, że nawet najwprawniejsze oko, kopii od oryginału nie rozezna. Najciekawszą zaś jest, iż w krótkim czasie setki takich kopij sporządzać można, nie potrzebując do tego więcéj czasu jak drukarz, któryby te pisma czcionkami miał ułożyć i wydrukować. Dla przekonania się dano wynalezcy pewien stary dokument, który podług dotychczasowego zdania za najtrudniejszy do przerobienia uchodził. Naśladowca wziął dokument do domu, a wróciwszy po niedługim czasie, przedłożył kilku urzędnikom, ku ich niewymownemu zdziwieniu 50 gotowych kopij, które w niczém od oryginału się nie różniły. Na dokumencie znajdowały się liczne podpisy, odznaczające się, jak zwykle, odmiennémi odcieńmi. Wszystko to było jaknajdokładniéj oddane. Następnie doręczono wynalezcy kilka assygnacyj do naśladowania, a wkrótce przyniósł tenże znaczną ilość podrobionych assygnacyj téjże samej wartości, i wezwał obecnych aby rozeznali prawdziwą od fałszywych, nie przypatrując się im do światła. Żaden z obecnych nie mógł najmniejszéj dostrzedz różnicy. Z powodu niebezpieczeństwa, jakiém ten wynalazek wszystkim stosunkom społecznego życia zagraża, ile że to zupełną zmianę publicznych podpisów, dokumentów i t. p. sprowadzićby musiało, sądzą wszyscy iż rząd nasz, ten wynalazek od wynalezcy zakupi, i tym sposobem obawianym ztąd nadużyciom zapobieży. Idzie jeszcze o to, czy pomieniony wynalazek do innych nieszkodliwych celów, pod najściślejszym dozorem rządu, użyć się nie da?

Georginije pachnące. Wydawany w Preszburgu »Dziennik narodowy słowiański« zawiera następujące doniesienie, które miłośnikom kwiatów niemałą przyjemność sprawi: »Już od kilku lat pracował pan Godra, rektor i profesor ewangelickiego gimnazyjum w Neu-Verbass w Węgrzech, nad udzieleniem zapachu georginijom, i używał przytém trojakich środków. Gdy mu się to roku zeszłego przynajmniéj w części powiodło, zaczął on nowémi środkami próbować i doświadczać, jakby uzyskany już zapach jeszcze bardziéj powiększyć. Usiłowania jego wypadły jaknajpomyślniéj. Doprowadził bowiem do tego, iż bez żadnych dalszych przypraw, z samegoż nasienia przeszłorocznych pachnących georginijów, jeszcze wonniejszych w obecnym roku dochował się kwiatów, zkąd szanowny p. Godra wnosi, iż wskutek jego uprawy cały organiczny skład soków téj rośliny zmienionym został, i że przeto w ten sposób każdemu niewoniejącemu kwiatu, zapachu udzielić można. Co więcéj: p. Godra utrzymuje, iż ma w swojéj mocy, nadać georginijom rozmaitego zapachu. Zaiste, piękne odkrycie, któreby panu Godra w Anglii i we Francyi, u tamtejszych klasycznych blumistów, nie tylko sławę, lecz nawet praktyczniejsze korzyści zjednało było, gdyby nie jego własne bezinteresowne przyrzeczenie w pismach publicznych, iż tylko dopóty tajemnicę zachowa, aż póki na przyszły rok dokładnie się nie przekona, że cebulki tegorocznych georginijów bez żadnéj dalszéj przyprawy, również pachnące kwiaty wydadzą. - Dla tém pewniejszego przekonania teoretyków o możności przeistoczenia soków krzewu georginii, zamierza p. Godra posłać liście swoich pachnących georginijów do dwóch znakomitych chemików i naturalistów, aby z nich, jeźli można, wonną georginijową wodę za pomocą destylacyi wyrobili, i tak najodleglejszym miłośnikom ogrodnictwa, prawdziwości jego odkrycia dowiedli.

Wędrówki i przemiany funta bawełny. Dziennik londyński »*Times*« opisuje w następny sposób przygody funta bawełny, chcąc przeto ważność tego surowego materyjału w przemysłowym świecie Anglii

jaknajwidoczniéj okazać. Niedawno wysłano z Glasgowa do Londynu małą sztukę muslinu, zaledwie 1 funt ważącą, któréj historyja tu następuje: Bawełna do téj materyi przybyła z północnéj Ameryki do Londynu, a z Londynu wyprawiono ją do Manchester, gdzie w przędzę zamienioną została. Z Manchester udała się ona do Paisley, aby tam w twist być utkaną; poczém poszła daléj do Ayrshire, gdzie ją tamburowano; gdy to się stało, pojechała do Dumbarton dla osuszenia i preparowania; nato zawieziono ją na wieś do Renfrew, gdzie wyblichowana nazad do Paisley wróciła, a dopiero teraz wysłano ją znowuż na kołach do Londynu. Nie można prawie oznaczyć dokładnie czasu, w ciągu którego taż bawełna na targ wystawioną zostanie, wszakże nie rozminiemy się wielce z prawdą, gdy powiémy, iż między jéj wyjazdem z Ameryki a jéj ostatniém przybyciem na składzie towarów w Londynie, dwa całe lata upływają, w którymto czasie odbywa ona 3000 mil angielskich na morzu, a 920 na lądzie, i przyczynia się do zarobku blisko 150ciu ludzi, będących jużto furmanami, jużto pracownikami i wyrobnikami w fabrykach; tak iż funt bawełny, w téj chwili, gdy on już urobiony do magazynu idzie, o 2000 procentu nad swoję pierwotną wartość się podniósł.

Alfons Karr o piekarzach. »W teraźniejszych czasach,« — mówi Alfons Karr w dzienniku *Patrie* — »zajmują się wszyscy ubogimi, i zaczęto w istocie czynić bardzo słuszne i rozsądne domagania na ich korzyść, z których wszakże bardzo mało do skutku przyszło. Co do mnie, tyle przynajmniéj wyrobiłem, iż chléb teraz na wagę jest sprzedawany, przezco piekarzom oszukiwanie utrudniono; lecz nie mogłem tego dokazać, aby piekarz — który ubogiemu wyrobnikowi pół funta chleba ukradnie — był w sądzie zarówno winnym uznany, jak wyrobnik, który piekarzowi takąż samą ilość chleba ukradł. Wyrobnika nazywają w takim razie »złodziejem«, skazują go na długoletnie więzienie, a czasem nawet na galery, jeżli niédak dla wyjęcia chleba, jeszcze przytém stłukł szybę w oknie, gdy się już latarnie paliły; piekarz zaś, który ubogiemu chléb kradnie, okupuje się karą pieniężną, lub w razie powtórnym, kilką godzinami aresztu, a kradzież jego nie zowie się kradzieżą, lecz tylko — *contravention!!*«

Filantrop. Przed kilką tygodniami znalazł pewien londyński chłopiec u majętnego rzeźnika pomiędzy różnémi starémi szpargałami opieczętowany okólnik z nadpisem: Do lorda Ashley. Otworzywszy okólnik ujrzał z zadziwieniem w środku banknot stu funtów, który lordowi na jakiś dobroczynny cel był przesłany. Natychmiast pobiegł uwiadomić o tém żonę swego majstra, ta posłała bez zwłoki do lorda, a ponieważ lord na wieś był wyjechał, przeto kazała go przez jego adwokata listownie o znalezionych pieniądzach uwiadomić. Po kilku dniach przybywa jego lordowska mość do Londynu i każe wezwać rzeźniczkę do siebie. Lecz zamiast podziękowania, na jakie jéj gorliwość za najśpieszniejsze przywrócenie mu owéj sumy, a osobliwie uczciwość chłopca, zasługiwały, złajał lord rzeźniczkę, iż się ważyła okólnik odpieczętować, a w domiar gniewu swego kazał ją za drzwi wyprowadzić. Nie dość na tém! Nazajutrz dano znać rzeźniczce, iż ją lord sądowo zapozwał, i na ukaranie jéj lub chłopca nastaje. Dziennik »*Times*« zaręcza rzeczywistość tego wypadku. Lord Ashley jestto ów znany filantrop, który w parlamencie tak gorliwie za robotnikami w węglarniach, i za zniżeniem czasu pracy w zakładach fabrycznych przemawia. Komuż ten wypadek wielu innych podobnych dobroczyńców ludzkości nie przypomni! Nie brzmiące słowa, nie wystawny pozór — lecz serce, i szlachetne czyny, dają rękojmię o charakterze człowieka.

Nowe mydło. Szwedzkie pisma udzielają nowego sposobu robienia mydła, który, gdyby istotnie swojéj zachwalonéj skuteczności odpowiedział, wielkie ludowi wiejskiemu korzyści mógłby przynieść. Zbiéra się w lesie pewną ilość liścia paproci, pali się je na popiół, zbiéra ten popiół tak ostrożnie, aby żadne obce części, jakoto piasek, grudki ziemi lub kamyki w nim się nie znajdowały, i polawszy go wodą, miesza się to wszystko dopóty, aż póki się dość gęste ciasto z tego nie zrobi; z któregoto ciasta ugniata się potém kulę wielkości jabłka i suszy ją na słońcu. Te kule zastępują najwyśmieniciéj mydło, czyszczą wszelką bieliznę, i nadają jéj nawet pewną miłą dla oka, lekką niebieskawą barwę, a co największą zaletą, iż nie udzielają bieliźnie owego nieprzyjemnego zapachu, jaki ona po zwykłém mydle miéwa, jeźli się jéj kilkokrotnie w wodzie nie spłucze.

Definicyje handlu. Montesquieu mawiał: »Finansiści utrzymują kraj, jak powróz utrzymuje wisielca.« — Inny dowcipny pisarz, Fourrier, podaje następną definicyję: »Handel jestto sztuka, kupić za trzy franki, co warte jest sześć franków, a sprzedać za sześć franków, co warte jest trzy franki.« — Starożytni Grecy, umiejący pod osłoną allegoryi tak trafnie wyrażać prawdę, poruczali wymowę, handel i złodziejów opiece tegoż samego bożka, to jest Merkurego, który jeszcze i ten miał obowiązek, iż dusze zmarłych na tamten świat przeprowadzał.

Rzadką fizyjologiczną osobliwość przedstawia teraz dwoje zrośniętych dzieci, które niedawno do akademii umiejętności i medycyny w Paryżu nadesłano. Sąto dwie dziewczyny, urodzone przed dwoma lub trzema miesięcy w Mers, okręgu La Châtre, zrośnięte z sobą. Żyją one obiedwie, i otrzymały na chrzcie imiona Heleny i Filomeny. Obie dobrze uformowane głowy, mają w kształcie i rysach twarzy wielkie podobieństwo do siebie. Włosy czarne, oczy niebieskie. Wyższa część ciała jest u obydwóch dziéwcząt zupełnie wykształcona; przeciwnie ma się rzecz z niższą częścią, gdyż po jednéj stronie znajdują się dwie nogi, po drugiéj zaś tylko jedna, i ta jest bardzo niekształtna, o 7miu palcach. Jedno z tych dwojga dzieci nie przyjmuje żadnego prawie pokarmu, lecz jest przytém i mocniejsze i żywsze, i krzyczy ciągle, podczas gdy drugie cicho się zachowuje. Skład ich wnętrzności jest zresztą taki, iż oboje razem trawią, a jedno dziecię tymsamym pokarmem żyje, który przez drugie przyjęty został. Sądzą iż oboje tylko jeden żołądek mają. Oprócz tego ma każde z nich swe własne serce, płuca, weny i arteryje. Uderzenia serc obudwóch są nieco różne, i oddech tożsamo jest u jednego prędszy niż u drugiego.

Pani Rotszyld z Frankfortu, sędziwa, prawie stóletnia staruszka, bywszy niedawno słabą, czyniła swemu lekarzowi żartobliwe wymówki: że jego lekarstwa żadnéj ulgi jéj nie sprawiają. »Pani, w tém nie moja wina;« odpowie lekarz, »my nikogo młodszym zrobić nie umiémy.« — »Nie oto idzie,« ozwała się staruszka, »ja owszem życzę sobie abym coraz starszą była.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.